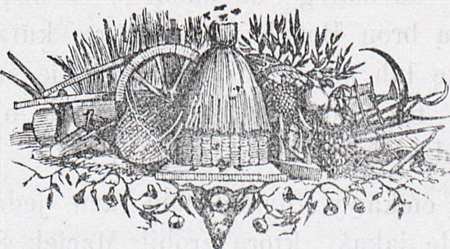
Tom XIV. 11. lutego



Nr. 5. 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sądy przy gorzałce.

—

We wsi polskiej Królewskie - Sioło jest od niepamiętnych czasów taki dobry zwyczaj, że wszystkie gromadzkie sprawy odbywają się zawsze a zawsze w chałupie wójta i to bez żadnej pijatyki i obrazy bożej, a każda sprawa jest osądzona sprawiedliwie i sumiennie, jak Bóg przykazuje. Toż nie ma tam pamiętnika, aby kiedy płakał i narzekał kto na sądy gromadzkie. Ale jest tam jeszcze i to dobre, że od dawna jest zawsze wójt po pradziadkach i ojcach z jednej chałupy i rodziny, co się zowie Wróblami. Jak ojciec umiera, co był wójtem do śmierci, to gromada obiera najstarszego jego syna, i nie było tam nigdy tak, aby kto inny wójtował. Aleźbo to z tej chałupy wychodzą zawsze dzieci pobożne i ładne jak pieniądz, a sprawiedliwe, trzeźwe i pracowite, jakby były świętemi. W chałupie tych Wróblów i wójtów jest stara dębowa skrzynka, zamykana na mocną i wielką kłódkę, a w tej skrzynce ma gromada różne prawa od królów polskich, ma czarną kulę, którą zwołują ojców do gromady, ma krzyż św. który stoi zawsze na stole, kiedy

gazdowie tamtejsi sądzą sprawy, jest gromnica poświęcana jakie sto razy, co się świeci przed krzyżem na każdej gromadzie a gazdowie wtedy od starego do młodego siedzą sobie pobożnie i bez czapek, a broń Boże! aby tam kto kurzył wtedy fajkę albo pił gorzałkę lub piwo albo gadał jakie śmiechy i banaliuki. I gadają też ludzie daleko a daleko o tych sprawach i sądach gromadzkich!

Otóż i ja ciekawy, byłem tam razu jednego na jednej sprawie o szkodę jakąś, którą zrobił Maciek Sroka drugiemu sąsiadowi Stachowi Lenkowi i napatrzyłem się dużo, dużo rzeczy dobrych. Gdy się sprawa skończyła i gazdowie powyłazili zza stołu, ja mówię do nich:

— A to macie rozum doskonały jeden w drugiego, że macie sprawy w chałupie wójta, a żydzi w Arendzie nic o tem nie wiedzą i nie mięszaja się do was! ale i to doskonale, że sądzicie sprawy przy Panu Jezusie bez pijatyki i swarów, bez gniewu i obrazy bożej. Gdyby tak robili gazdowie w całej Polsce, toby było z tego wiele dobrego.

A wójt Marcin Wróbel, już starowina siwiutki, co był najstarszym bratem w kościele, otworzył skrzynkę, wyjął jakiś papier spisany na wszystkie strony i powiada mi:

— Ten papier to stara pamiątka jeszcze po moim pradziadku Sobku Wróblu, a jeźli JMość chcą to przeczytać, to można, i z tego się dowiecie, czemu to nasze chłopy tak sądzą sprawy gromadzkie sprawiedliwie.

Ja wziąłem ten papier do ręki i czytam uważnie i kiwam głową i patrzę na gazdów, a jakem go od końca do końca przeczytał, wtedy wójt mię pyta:

— A co? Jegomość, czy to nie cudowna rzecz i pamiątka dla całej gromady?

— Ha! mówię ja zadziwiony, to prawda — ale czy znacie jeszcze tę beczułkę, o której tu wspomina to pisanie?

Wójt na to zaraz:

— A jużci mamy w dobrem schowaniu, ot! jest tu druga skrzynia dębowa na dwa zamki, a w niej stoi ta beczułka.

I pokazał mi wójt beczułkę czarną, starą, coby do niej wlazło dwie ćwierci dobre, była z jednem dnem, a drugiego nie miała, a zdawało mi się, że były w środku znaki czerwone nito z jakiejś krwi ludzkiej.

— No! mówię ja do gazdów, a czy wy też pamiętacie który ten przytrafunek dziwny? albo czyby mi też kto z was nie opowiedział tego wszystkiego ale sprawiedliwie?

A wójt starowina rzecze:

— Toć ja to opowiem Jegomości, kiedy jeszcze Jegomość o tem nie słyszeli nigdy — i jął opowiadać: Otoż widzi Jegomość jeszcze to za jakiegoś mego pradziadka i za czasów polskich była nasza gromada cała wsią samego króla, a nasi dziadkowie płacili z numeru dla króla po dwa grosze na stół króla i jego dworu całego.

A jak król kiedy zajechał do nas, to mu dawali konie i posługiwali sami ojcowie starzy, a za to brali do kalety dukaty świecące jak ogień.

A ja poderwałem wójta i mówię:

— To naprawdę tak bywało wszędzie po wsiach królewskich za dawnych czasów polskich — ale który z was zgadnie mi, ileto było na nasze pieniądze te dwa grosze dawne?

-- O ile? mówi jeden gazda; toć my mamy w papierach zapisane, że to znaczy na nasze jeden dudek dawny albo dwa nowe krajcary.

— I to prawda, mówię ja, ale gadajcieno panie wójcie o tym przytrafunku waszego dziatka.

A wójt starowina rzecze:

— I widzi Jegomość, była sobie nasza gromada zamożna, a lud pobożny cały nito zakonniki jakie, a mój pradziadek Sobek wójtował wtedy na trzy gromady wielkie, jeno jakoś to wtedy nie pijali tak ludzie, jak teraz, ani nie było bitki żadnej, ani zawziątku na nikogo na świecie Bożym, a posłuch był jak w kościele na kazaniu, a gazda za gazdą byłby w ogień skoczył. Otóż i mój pradziadek znał doskonale samego króla i odnosił na nowy rok pieniądze gromadzkie, nito podatek wsiowy, a był sam trzeźwy, że pono na całe życie kosztował tylko dwa razy gorzałkę, ale znał się dosyć na prawach polskich i jak

wypalił sąd jaki, to tam nie trza było i króla szukać. On też nigdy od nikogusienko nie wziął nic za sprawę, a dzieci jego tak brały karę sprawiedliwą, jak komornik chudobny. A żył blisko sto lat i ani go głowa zabolała ani mu ząb który wyleciał, ani mu głowa nie posiwiała, a jak umarł, to miał pogrzeb nito pan bogaty, i tu leży koło naszego kościoła.

A ja na takie gadanie dodałem:

— Takto żyją wszyscy pobożni ludzie, a jak ich Bóg powołuje do siebie, to idą ludzie zdaleka na ich pogrzeb i płaczą i żałują za nimi, a Bóg przyjmuje takie dusze prościutko do samego nieba. No! ale koniecznie o tej beczułce, bom ciekawy bardzo na to.

Wójt starowina powiada:

— Raz jakoś zaczęli ludzie w naszej gromadzie hulatyki, a memu pradziadkowi jakoś to było markotno o to, i zaczął karać mocno zbyteczników. A gdy nie mógł sobie już dać rady z nimi, toć raz tak im powiedział:

— Kiedy wy mię starego słuchać nie chcecie i kija mego się nie boicie, to ja powołuję się na samego Boga, a On dopomoże mi w tem, że ja was przekonam, jakito grzech wielki takie hulatyki i pijatyki na wsi.

— No! i cóż on takiego zrobił? zapytałem.

— A coby złego, gada wójt starowina, toć jednego dnia zmówił sobie cały urząd gromadzki do kościoła, tam byli wszyscy na mszy św. potem do spowiedzi i do komunii św. a pradziadek sam leżał całą mszę krzyżem przed ołtarzem Pana Jezusa Ukrzyżowanego i tam sobie zrobił jakiś ślub i modlił się bardzo aby mu Pan Jezus dopomagał w dobrem.

— No! ale wy nie wiecie, jaki był ślub? zapytałem dalej.

— A coby nie, rzecze wójt starowina, toć on widać ułożył sobie w myśli, że wleje każdy kieliszek gorzałki lub piwa lub miodu do beczki i tak będzie robił od nowego roku do starego, a potem ułożył sobie znowu tak swej biednej głowie że pokaże ludziom na końcu, ileto wychodzi gorzałki samej' na sprawy gromadzkie w roku jednym i co to ta gorzałka przynosi na rok arendarzom zysku, a straty gromadzie.

— No! to coż się potem stało? zapytałem.

— A jużci, mówił wójt starowina, dał sobie zrobić beczkę taką i postawił ją w kącie w izbie za stołem, a jak jeno kto przyniósł napitek do niego na sprawę jaką, to wlewał do tej beczki każdy swój kieliszek, co pił kto do niego.

— A cóż ludzie na to? pytałem.

— A ludzie jak ludzie, mówił on, jedni się śmiali z tego, drudzy kiepkowali sobie, inni lali ze śmiechu swoje kieliszki do tej beczki, znowu inni bali się tego, a nikomu przez myśl nie przeszło co to będzie z tego — boć nie jeden myślał sobie tak, że na końcu da wójt wypić ludziom tę beczkę gorzałki, albo ją sobie schowa na wesele, albo sprzeda arendarzowi.

— No! a on co zrobił z nią? pytałem z ciekawością wielką.

— Ha! ha! Jegomość, mówił wójt starowina to się dopiero na samym końcu pokazało, kto wygrał. Bo to widzi Jegomość, dobremu pomaga zawsze sam Bóg na dobre, a na ukaranie złych robi nie raz cuda wielkie — toć w ostatni dzień roku, kiedy trza było robić obrachunek całej gromady, zwołał mój pradziadek gromadę, kazał przynieść flaszki i kieliszki, a ludzie już naprzód łykali ślinkę na tę gorzałkę wystaną w beczce. No! po obrachunku nabrał mój pradziadek nieboszczyk, Boże daj mu tam niebo! pierwszy kieliszek z tej beczki, patrzy, a to niby wino czerwone w kieliszku — on na to nic nie mówił, jeno się zadziwił, bo mu się wydało, że ktoś figla zrobił i gorzałkę poczerwienił. Wtedy zrobił się ścisk wielki koło beczki, każdy nabiera do kieliszka i do flaszek i idzie sobie na izbę i przypatruje się tej czerwonej gorzałce. Aż mój pradziadek pokosztował pierwszy i zaraz wypluł i powiada:

— Otoż panowie gromada! macie teraz oczywisty dopust boży na gromadę naszą — ta gorzałka zlewana przy sprawach stanęła czerwona, jak gdyby ją przemienił Bóg w krew, abyście się raz przekonali, że urzędy gromadzkie piją na sprawach gromadzkich krzywdę ludzką i krew ludzką. Na to zrobiło się w izbie cicho jak w wielkim lesie, każdy skosztował i

wypluł, bo w kieliszkach i flaszkach było coś tak czerwonego, gdyby szczera krew ludzka.

Ją na to gadanie wójta zadumałem się bardzo, opatrzyłem jeszczę raz beczułkę i widać tam było znaki czerwone i mówię:

— To prawda święta, że urzędy gromadzkie piją nie raz krzywdę ludzką, ni to krew chudaków a to podanie, które mi opowiedzieliście o swoim pradziadku, jest dobrą nauką dla gazdów i urzędów gromadzkich.

Gromady polskie powinne się kajać i nie robić sądów po pijanemu, ani też sądzić przy napitku, ani zdzierać chudaków na gorzałkę przy sprawach — bo to wszystko grzech wielki i trza za to na sądzie bożym odpowiadać, a może tam na sądzie pokaże Bóg krew ludzką wypitą niesprawiedliwie.

A gazdowie z Królewskiego Sioła powiedzieli:

— Oj tak Jegomość tak! trza za wszystko odpowiadać kiedyś i my też wystrzegamy się napitku przy sprawach i sądach, a ta beczułka przypomina nam. jak to Bóg karze i karać będzie za zbytki takie.

Ja pożegnałem tych gazdów dobrych, a o tem podaniu piszę wam wszystkim moi polscy gazdowie, abyście nie krzywdzili nikogo przez wasze sądy.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Piszczałka grobowa.

Przy gościńcu za rzeką,
Starym ciężkie łzy cieką;
Przy wygonie za borem,
Stoi pole otworem,
A na polu mogiła,
Na mogile kalina,
A u głowy brzezina,
A u dołu wierzbina,
Reszta w trawie się skryła.

Dana moja, hej dana,
Pasie chłopię od rana —
Kręci sobie grobową
Piszczałeczkę wierzbową:
— Graj piszczałko od ucha,
Niech się serce rozrucha!

Gra piszczałka żałośnie,
Aże w sercu łza rośnie:

— Byłem ja ci maleńki,
U jedynej mateńki,
Kiedy przyszli nieswoi —
Jeszcze w grobie o moi!

Na spominkę krew biegnie,
Z rany co się nie goi —
Kością w gardle mi stoi,
Gniew mnie jary zażegnie. —
Na wojenkę wypadło!
Kowal rzuca kowadło,
Szewc kopyta porzucił,
A kto młócił — nie młócił.
Ja wyrostkiem już byłem,
Na wojenkę ruszyłem.

Leci orzeł pod chmurą,
Zgubił w polu gdzieś pióro

Lecą, lecą przez łany,
Krakowiaki, hułany,
I zgubili jednego,
Tu u boru czarnego.

Leży mi się tu, leży,
Niby w rajskiej odzieży;
Tak tu cicho i miło,
Jak mi nigdy nie było —
Jeno czasem łza płynie,
Że co złe to nie ginie —

Lećże, lećże mój głosie,
Do mateńki po rosie;
Niech już starzy nie płaczą,
I hułana zobaczą.

Poleciało pacholę,
Z piszczałeczką przez pole,
A do starych po rosie,
Leci głosik po głosie:
— Oj co swoje — nie swoje —
Hej już trudno tak będzie,
Nie siadł wiecznie kto siędzie,
A jak raz się odczepi —
Oj to będzie nam lepiej.

Grześ z Mogiły.

Araburda.

Historyjka ucieszna.

Żył raz pewien mieszczanin, który z wielkiego bogacza przez rozmaite nieszczęśliwe wypadki zeszedł na ubogiego człowieka. Bieda mu okrutnie doskwierała i już prawie żyć z czego nie było, kiedy naraz przypomniał sobie ów mieszczanin, że kiedy jeszcze był bogatym kupcem, to pożyczył był jednemu możnemu panu, co się zwał Ostroróg, niemałą sumę pieniędzy. Idzie więc do tego pana i prosi bardzo, aby mu teraz oddał te pieniądze, bo ich bardzo potrzebuje — ale źle się wybrał nieborak, bo pan nie chciał mu oddać w żaden sposób pieniędzy. A że biedny mieszczanin nie miał na tę sumę od pana żadnego pokwitowania, więc też i nie mógł go zapozwać do sądu, a tak pieniądze jakby już przepadły. Wraca tedy do domu biedaczysko, zafrasowany okrutnie, kiedy go naraz zdybuje pewien człek bywały i chwacki, jak to mówią na cztery nogi kuty i sprytny nielada. Zwał się ten człek Kukułas

Araburda i znany był wszerz i wzdłuż jak figlarz nad figlarze! Zdybawszy na drodze biednego mieszczanina pozdrowił go grzecznie, bo był mu znajomy i pyta:

— A czemu wy tacy markotni, panie Grzegorzu?

— A jakże nie mam być markotny — odpowiada na to Grzegorz — kiedy to człowiekowi bieda się za kark leje a swojej pracy odebrać nie może.

— Opowiedzcież mi wszystko, a ja wam może poradzę! — rzecze Araburda.

Mieszczanin Grzegorz opowiedział mu po krótce cały swój kłopot a Araburda mówi:

— Oho! zdajcie się tylko na mnie, a ja wam zaraz pieniądze od tego pana przystawię! Jabym samemu djabłu dług wydarł z gardła!

— Ha to probujcie — rzecze na to Grzegorz — kiedyście łaskawi. Ale uważajcie, że to nielada orzech, który zgryźć musicie! A jeżeli wam się uda odebrać pieniądze, to ja wam już trzecią część daruję.

Araburdzie nie mówić tego dwa razy, zbiera się co rychło, siada na swoją szkapę i dalej na dwór pana Ostroroga. Nie minęło dwie godziny, już był na dworskim dziedzińcu. Zaś na dziedzińcu stał starym zwyczajem słup do przywiązywania koni dla gości, a przy tym słupie były trzy kółka, żelazne, srebrne i złocone. Do żelaznego kółka przywiązywali konia służący, do srebrnego szlachta, a do złoconego wielcy panowie. Araburda nie wiele myśląc przeciągnął tręzlę od konia przez wszystkie trzy kółka i sunie do domu.

— Kto tam przyjechał? — pyta pan sługi.

— Nie wiem, jasny panie!

— A do któregoż kółka przywiązał konia?

— Do wszystkich trzech od razu — odpowiada sługa.

— A to jakiś frant nielada! — mówi pan i wychodzi na przeciw Araburdy.

— Co wasan za jeden? — pyta go surowo.

— Jestem Kukufas Araburda!

— A czemuż to wasan do wszystkich trzech kółek przywiązał konia? — pyta pan dalej.

— Bom przyjechał przysłany przez innego, a więc jako sługa, bom zacny człowiek, a zatem taki dobry jak szlachcic, bom nikomu nic nie winien i nikogo się nie boję, a zatem wielki pan! — prawi ostro Araburda.

— Mądryś bratku! — mówi pan — a pocóżeś tu przybył?

— Po pieniądze, które wielmożny pan winien mieszczaninowi Grzegorzowi. Dopóki tych pieniędzy nie dostanę, dopóty się ztąd nie ustąpię! — odpowiada Araburda.

— Oho zobaczymy! -- mówi pan — czy ty tu długo wytrzymasz u mnie na egzekucji.

I zaraz dał rozkaz swojej służbie, aby Araburdzie w czem można dokuczała a i sam postanowił dopiekać mu z całej siły, aby go tym sposobem zmusić do odjazdu z kwitkiem.

To też zaraz, kiedy zasiedli wszyscy do obiadu a Araburda także, pan nie kazał umyślnie dać Araburdzie łyżkę. Przynoszą barszcz, wszyscy sobie nabierają i biorą się do łyżek, a Araburda w kłopocie, bo nie ma łyżki i nie może jeść. A pan na dobitek tak mówi:

— Kiep ten, có nie zje barszczu!

Ale Araburda nie w ciemię bity. „Sztuka za sztukę!“ myśli sobie, nie czekając długo, bierze chleb, wykrawuje sobie z niego czerpak jak łyżkę i nuż nią zmiatać barszcz co żywo. Zjadł tedy Araburda barszcz razem z innymi a odzywa się wtedy na cały głos:

— Kiep ten, co łyżki swej nie zje!

I chwyta swój czerpak z chleba wykrojony w zęby i zjada go w najlepsze, a sam pan i goście jeno wytrzeszczyli oczy i poskrobali się w głowę, boć żaden z nich swej łyżki, tak jak Araburda, połknąć nie mógł.

— Źle! — myśli sobie pan — ten wyjadacz nie tak łatwo da się zbić z konceptu. Ale już ja mu muszę spłatać figla!

I zaraz przy wieczerzy, każe pan wszystkim gościom podać smakowity krupnik a Araburdzie tylko czystą polewkę, jakby wodę. Wszyscy zaczynają jeść smacznie krupnik i śmieją się z Araburdy i z jego wodnej polewki. Widząc to Araburda, bierze na rozum i zaczyna się rozbierać z odzieży. Ściągnął już buty i zdejmuje już kapotę — aż go pan pyta:

— Co asan robisz? Czego się rozbierasz?

— A cóż? — rzecze Araburda — myśle dać nurka w tej misce z polewką, może jaką krupę ułowię!

— To mi grasz! — myśli sobie pan widząc, że z Araburdą nie ma rady, i kazał mu dać prawdziwego krupniku. Przynoszą potem ryby, Araburda je za czterech. Pan widząc, że Araburda je ryby z ikrą, chciał sobie z niego znowu zażartować i mówi:

— Ej bracie, nie jedz, bo zarybisz sobie żołądek!

— Niech i tak będzie — mówi Araburda — ale pierwszy spust będzie dla wielmożnego pana!

Zaczeli się śmiać wszyscy okrutnie a pan zawstydzony spuścił nos na kwintę. Dają na stół sér, ale nie zwyczajny domowy, jeno bardzo drogi, zagraniczny, aż z Szwajcaryi sprowadzony. Wszyscy goście zjedli po jednym kawałku, ale Araburda ukroił sobie jeszcze drugą, ogromną sztuką i je, aż mu się uszy trzęsą. Pan zły i mówi do niego:

— Ale to sér szwajcarski!

— To tem lepszy! — odpowiada Araburda i ukroił sobie jeszcze trzeci, okrutnie wielki kawał.

— Ale panie Araburdo — mówi pan dalej — kto tego sera dużo zje, może się otruć!

— To doskonale — odpowiada w lot Araburda — dobrze że wiem, ma ja siąsiada bardzo niegodziwego, co mi jest prawdziwym wrogiem, chciałbym go się pozbyć, to go tem serem poczęstuję — i łap za cały sér i schował go do kieszeni.

Pan aż zagryzł wargi ze złości i myśli sobie, że lepiej już oddać pieniądze i wyprawić Araburdę, bo z nim do końca nie dojdzie. Daje mu tedy pieniądze i mówi:

— Oto masz dług! Bierz i wynoś mi się zaraz do licha!

— Albo ja co ukradł? żebym się po nocy tłukł? — rzecze Araburda biorąc pieniądze — jutro rano sobie pojadę!

— Twój Grzegorz mógłby był do mnie po pieniądze wysłać kogoś uczciwszego, a nie takiego jak ty! — mówi pan z gniewem.

— A tak! — prawi na to Araburda — do poczciwszych wysełа Grzegorz poczciwszych, a do pana to takiego jak ja!

Pan rozgniewany splunął tylko i odszedł, ale aby przecież pomścić się na Araburdzie kazał jego koniowi ogon uciąć! Araburda kładąc się spać, przeczuwał, że mu jakiegoś figla przy końcu wypłatają; przeto bardzo rano wstał, gdy jeszcze wszyscy spali i poszedł do stajni, gdzie zobaczył, że szkapa jego bez ogona. Nie myśląc wiele, dobył nożyka i poobcinał wargi dwom koniom pańskim a sam usiadł na swoją szkapę i wyjechał ze dworu.

— Szczęśliwa droga! zawołał pan — który na umyślnie rano wstał aby się śmiać z Araburdy, jak będzie jechał na szkapie bez ogona. — A gdzie to waścin rumak ogon stracił?

— Śmiejcie się panie z mego podjezdka — odpowiada Araburda — ale idźcie no do stajni, tam się lepiej ubawicie, jak zobaczycie, jak się wasze konie śmieją z mojej szkapy!

I pokłoniwszy czapką pogonił dalej i przywiózł Gregorzowi pieniądze!

Rady gospodarskie i lekarskie.

O trychinach czyli po naszemu: włosieńcach.

Muszę wam też donieść, jaką to nową chorobę i istną plagę ludzką odkryto w niemieckich krajach. W Prusiech i Saksonji zachorowało wielu ludzi na chorobę ciężką, której doktorowie w żaden sposób rozpoznać nie mogli. Bo to wystawcie sobie, człowiek zaniemagał ni z tego ni z owego i cierpiał okrutne bole a najlepszy nawet lekarz nie mógł mu nic poradzić, bo sam nie wiedział, coby to za taka była choroba.

Zazwyczaj tak się działo, że człowiek dostawał okrutnych bolów w stawach, w rękach i kolanach, zaś potem całe ciało zaczęło straszliwie boleć i całe nabrzmiewało, tak że nie można było nawet dotknąć się z lekka chorego, bo zaraz jęczał od wielkiego bolu. W końcu opuchła choremu głowa i w najokrutniejszych mękach leżał przez kilka, nieraz nawet przez siedm tygodni a potem umierał.

Jak już powiedziałem, nie wiedzieli lekarze powodu tej choroby, więc też po śmierci opatrywali takiego chorego i kra-

jali ciało, aby się przekonać dokumentnie, co mu też brakowało i na co umarł. Otóż widzicie znaleziono w ciele takiego chorego mnóstwo robaczków maleńkich, których gołem okiem nie można było widzieć, tylko przez takie szkła, co kilka tysięcy razy powiększają. Nie można było dojść tego, zkąd się te robaczki brały w ciele ludzkiem i lekarze długo zachodzili w głowę, aż nareście doszli przyczyny.

Kiedy się bowiem takiego chorego pytano, jak to zazwyczaj lekarze czynią, co jadł albo pił przed chorobą, to odkrywało się zawsze, że chory zawsze przed tem jadł wieprzowinę, najczęściej jeszcze surową, bo to Prusacy i inni Niemcy lubią jadać surowe mięso ze świń, które tylko trochę było podwędzone.

Zaczęli tedy lekarze dochodzić, czyli też w tem wieprzowem mięsie nie ma przyczyny tej dziwnej choroby i w końcu się przekonali, że tak jest akuratnie. Kiedy bowiem poczęli opatrywać przez powiększające szkła tę wieprzowinę, z której chory jadł przed chwilą, to odkryli, że w tem mięsie było nieprzeliczone mnóstwo maleńkich robaczków.

Te robaczki nazywają się trychiny, albo po naszemu włosieńce, bo takie są cieniuteńkie, gdyby najcieńszy włosek.

Okazało się z dalszych lekarskich dochodzeń, że świnie w Niemczech podpadają takiej chorobie, że w nich wylęga się mnóstwo robaczków, które tylko przez takie szkła, które kilka tysięcy razy powiększają, zobaczyć można. Gdy więc zabito świnię, która miała w sobie te trychiny czyli włosieńcy, a mięsa z niej nie wygotowano dobrze, to człowiek, który zjadł takie mięso, zaraz ciężko zachorował. Robaczki te bowiem, gdy się dostaną wrazz zjedzonem mięsem do żołądka, to tam rozpładzają się jeszcze bardziej, a potem przeżerają się przez kiszki i wchodzą z krwią do nóg i rąk, a ztamtą dwciskają się do ciała i gryzą i wiercą okrutnie. Ztąd ludziom odejmuje ręce i nogi, i okrutny ból trapi całe ciało, aż nareście po siedmiu tygodniach chory albo wyzdrowieje, albo, jak to częściej się jeszcze zdarzało, umiera ciężką śmiercią.

Cała więc ta choroba pochodzi z jedzenia mięsa z chorych świń a jeszcze do tego surowego. W Prusiech i innych kra-

jach niemieckich jest taki zwyczaj, że ludzie jedzą szynki i kiełbasy wędzone, których nie gotują ani odrobiny. Że zaś dym tym robaczkom nic nie szkodzi, więc się żywe przechowują a potem razem z mięsiwem dostają się do człowieczego żołądka.

— Z tego powodu powstał w Niemczech okrutny strach przed wieprzowiną i już jej nikt jeść niechce, bojąc się tych robaczków i okrutnej choroby. Rzeźnicy i kupcy, co wieprzowiną handlowali, mają więc wielką stratę i pozamykali już prawie całkiem jatki, a gdzie jeszcze przedają, to tam wpierwej lekarze przez rozmaite szkła opatrują świnię zabitą, czy w niej nie ma tych robaczków.

U nas chwała Bogu tej plagi nie ma i zapewne nie będzie, bo u nas inaczej świnie karmią i nie jedzą surowej wieprzowiny. W Niemczech tuczą świnie, czem tylko mogą, różnemi ochłapami i flakami, i do tego trzymają je w ciasnych i niechlujnych chlewach, więc z tego dostają one te trychiny czyli włosieńcy. A potem, jak wam już mówiłem, ludzie jedzą surowę wieprzowinę, bo nie gotują jej zazwyczaj tylko przewędzają.

Lekarze się przekonali, że te robaczki w wieprzowinie giną na wielkiem gorącu, więc jak się wieprzowinę dobrze na tęgim ogniu wygotuje, to choćby i były w niej te włosieńcy, to poginą i już potem takie mięso choć się zje, to nic nie szkodzi. Zaś w słoninie i sadle to nigdy tych robaczków nie ma.

Jak już wam powiedziałem, nie ma u nas tej choroby, ale że to strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc też dobrze by było, aby każdy, kto z was świnie trzyma, zachowywał je w czystości i karmił czystą i zdrową karmą, a broń Boże nie rznął chorych świń na jedzenie. A potem uważać na to trzeba, aby nie jeść innego mięsa wieprzowego, jeno takie, które się dobrze i na wskróś wygotowało.

Srodek na oparzeliznę.

Oparzenie rąk albo twarzy a nieraz i ciała całego bardzo się często zdarza przy nieszczęśliwych wypadkach lub z nieostrożności. Rany takie z oparzenia bardzo są ciężkie i trudno

je wyleczeć a zdarza się nawet nie rzadko, że z upieczenia można przyjść do wielkiego kalectwa.

Zapisuję wam tu więc prosty bardzo środek, którego pewien doktor w Niemczech wypróbował. Pewien człowiek oparzył sobie okrutnie rękę i choć go rozmaitemi sposobami leczono, nic nie pomagało, a rany tak się już były zaropiły, że chciano już biedakowi uciąć cała rękę, aby go przynajmniej od śmierci zachować.

Wtedy to jeden doktor na taki wziął się sposób: Wziął garść dobrej sadzy z komina i wsypał w kwartę zimnej wody, co gotował aż do wyparowania trzeciej części, poczem przecedził wszystko przez rzadkie płótno, i w roczczynie tym namoczył szarpie z płótna w postaci placuszków urobione, i dopiero temi obłożył całą powierzchnię oparzonej ręki, mocno ropiejącej. Zastosowanie tego środka sprawiło najpierw kłócie lekkie, a potem okazało się niespodziewanie polepszenie. Już bowiem nazajutrz zamiast obfitej jak dotąd materyi, znaleziono całą powierzchnią rany obsychającą i w dobrym stanie. Odtąd polepszenie odbywało się nagle w dniach następnych, gorączka znikła i chory w krótkim czasie mógł się zająć swoją robotą, gdyż odzyskał zdrowie i siłę w ręku.

Ostrożności przy paleniu oleju skalnego.

Od czasu kiedy w Galicji kopią siła nafty, mało już kto świeci łojem albo olejem, ale naftą czyli olejem skalnym. Jednakowoż przy paleniu nafty, bardzo ostrożnym być trzeba, bo gdy się przypadkiem zapali, to wybucha okrutnie i nieraz wielkie nieszczęście sprowadza. Olej skalny, pomimo swej przykrej woni, nie jest szkodliwy dla zdrowia, i niebezpiecznym być może jedynie przez swą łatwość zapalenia się. Jeżeli pół oczyszczony, mniej łatwo się zapala jak surowy, bo nawet od wrzuconych w niego płomieniących zapałek się nie zajmuje. To jest znakiem, że olej skalny jest oczyszczony, a zatem mniej niebezpieczny. Olej skalny oczyszczony jest zarazem więcej przeźroczysty, niż surowy.

W mieszkaniach olej skalny powinien być utrzymywany w dzbankach z blachy żelaznej, zamykanych zatyczkami również

metalowemi na szrubę. Życzyć należy, aby zatyczka połączona była małym łańcuszkiem ze dzbankiem. Niebezpiecznie jest utrzymywać go w szklannych butelkach, które przy przenoszeniu stłuc się mogą.

Lampy do oleju skalnego powinny być robione przedewszystkiem ze szkla albo z innego materjału przezroczystego, aby nie było potrzeby zbliżania swiatła wtenczas gdy się olej w lampę nalewa. Podstawa lamp powinna być dosyć obszerna i ciężka, aby lampa mocno stała i nie łatwo wywrócić się mogła.

Mając napełnić lampę olejem skalnym, wypada o ile być może, zrobić to w dzień i wlać stósowną ilość oleju, aby nie było potrzeba dolewania w czasie palenia się lampy. Jeżeli ta czynność ma być uskuteczniona wieczorem, potrzeba wystrzegać się jak najbardziej zbliżenia jakiegokolwiek palącego się przedmiotu do wlewanego oleju, który mógłby go zapalić i spowodować wybuch, zawsze niebezpieczny. Gdy trzeba koniecznie nalać lampę wieczorem i gdy takowa jest przezroczysta, dla poświecenia przy tem można jedynie użyć światła, którego płomień otoczony jest kominkiem szklannym. Gdy się ma zagasić lampę, trzeba knot spuścić ku dołowi, a potem dopiero płomień, gdy już jest tylko niebieski i mały, zdmuchnąć. Niebezpiecznie jest zanadto spuszczać knot, albowiem gdyby się wsunął wewnątrz lampy, mógłby wzniecić ogień i sprawić wybuch.

Powyższe środki ostrożności każdy mający do czynienia z olejem skalnym znać dokładnie powinien.

RÓŻNOŚCI.

Gadka o błaźnie i jego żonie. Dawnemi czasy trzymali sobie królowie lub wielcy panowie takich figlarzy ucieszych, co ich swemi żartami i sztuczkami rozweselali. Tacy ludzie zwali się błaznami albo trefnisiami. Otóż jest taka gadka o jednym błaźnie.

Był raz król, który trzymał sobie błazna, lecz gdy ten się podstarzał, król go odsunął od siebie i dał mu liche pomieszkanie z małą bardzo pensyjką, która na utrzymanie jego wystarczyć nie mogła. Myśli on tedy, jakiego by jeszcze figla wypłatać, i skłonić króla do poprawienia jego

losu. Pół dnia strawił nad myślami, nareszcie powiada do swojej żony.

— Wiesz ty co, jutro pójdziesz do królowej Jejmości, przez drogę natrzyj sobie cebulą oczy i powiesz, że ja umarł.

Rano idzie ona do królowy Jejmości niby zapłakana, która ją zobaczywszy tak stroskaną wnet zapytała:

— Jak się masz moja kochana, cóż tam słychać? Żona błazna kłaniając się nisko, powiada, że się źle ma, gdyż mąż jej o dziesiątej godzidzinie w nocy życie zakończył.

— Biednaś ty moja błaźnico, zawołała rozczulona królowa i dała jej pięćdziesiąt dukatów, aby miała za co męża pochować.

Przychodzi ona do domu i z radością pokazuje dukaty, które wytumaniła od łatwowiernej królowy.

— To dobrze, powiada błazen, teraz ja pójdę do króla i powiem żeś ty umarła.

Idzie on do króla z miną bardzo żałobliwą i kłania mu się bardzo niziusieńko.

— Jak się masz kpiarzu, cóż tam u ciebie słychać?

— Krucho bardzo koło mnie Najjaśniejszy Panie, jeszcze do tego moja najdroższa Elżusia dziś rano Panu Bogu ducha oddała.

— Biednyż ty mój błaźnie! zawołał król rozczulony i dał mu dwieście dukatów, żeby się miał czem pocieszyć po stracie swej małżonki.

Biegnie tedy uradowany błazen do domu i woła do żony:

— Widzisz ja lepiej utumanił króla, mamy więc 250 dukatów, to schowajmy, a teraz położymy się oboje i udajmy umarłych, gdyż król niezawodnie zechce się przekonać o tem zdarzeniu.

Leżą tedy próżniaki na ziemi pod białemi prześcieradłami z twarzami mąką przesypanemi, obok których płonął dymiący kaganek. Tymczasem w pałacu królewskim wielkie powstało zamieszanie. Królowa powiada, że błazen umarł, a król twierdzi przeciwnie, że błaźnica umarła. Nareszcie postanowili oboje przekonać się naocznie o tym wypadku. Idą tedy oboje do domu błazna i widzą że w samej rzeczy pomarli; zmówili więc pacierz za ich duszeczki, a król pyta się żony:

— Niewiedzieć które z nich prędzej umarło?

— Na co odezwał się błazen:

— Ja prędzej umarł miłościwy królu, a moja żona później umarła.

— A wstańcież mi zaraz oboje! zawołał król i darował im jeszcze dwieście dukatów, aby bez figlów żyć mogli swobodnie.

Dbałość i usilność. W pewnej wiosce koło Darmsztadu, w Niemczech, zachorował i obległ podczas siedmioletniej wojny pewien żołnierz francuski. Doznawszy ludzkości mieszkańców i wyzdrowiawszy, pozostał w wiosce i żywił się pracą rąk swoich. Gdy go niebawem zrobiono pastuchem gromadzkim, przyszło mu do głowy, iż na pastwisku dosyć jest miejsca na drzewa owocowe, i nuż raz, drugi, dziesiąty a może i setny do domu do Francyi i nosić szlachetne szczepki owocowe na plecach do Niemiec. W 1856 roku wyglądało w tej wiosce pastwisko jak rozkoszny owocowy gaj, który przyczynia się niemało do zamożości całej gminy. Tak to z latami szczepienie owocowych drzew wielkie przynosi korzyści.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.